

Marian Kowalczyk

Witold Duński



Marian Kowalczyk na Pregorze jedzie po zwycięstwo w Nicei w 1958 roku,
w konkursie Skoków Przez Przeszkody o nagrodę Morza Śródziemnego.

Marian Kowalczyk, Mistrz Polski w Skokach przez Przeszkody i w Ujeżdżeniu. Jeździec. Trener. Działacz sportowy polskiego jeździectwa.

Urodził się 13 marca 1926 roku w Janowie Podlaskim-Wygoda, województwo lubelskie.

Ojciec Aleksander. Matka Zofia z domu Trzybińska.

Siostry Stanisława, Halina, Zofia.

Bracia Mieczysław i Alfred. Żona Maria z domu Dudek.

Absolwent AWF w Poznaniu – Studium Trenerskie.

Mistrzostwa Polski

W Ujeżdżeniu:

- Wrocław 6 – 7 października 1960 – srebrny medal na Mitrydacie.
- Gniezno 21 – 25 września 1966 – złoty medal na Sekcie.
- Poznań 16 – 20 października 1967 – złoty medal na Sekcie.
- Radom 24 – 26 października 1968 – złoty medal na Sekcie.
- Kwidzyn 24 – 28 września 1969 – złoty medal na Sekcie.
- Olsztyn 30 września – 4 października 1970 – złoty medal na Sekcie.
- Warszawa 27 września – 1 październik 1971 – srebrny medal na Sekcie.

W Skokach przez Przeszkody:

- Gniezno 4 – 7 października 1956 – srebrny medal miejsce na Donacie wspólnie z Jerzym Grabowskim.
- Poznań 9 – 13 października 1957 – złoty medal na Pregorze.
- Poznań 2 – 3 października 1958 – srebrny medal na Pregorze.
- Wrocław 6 – 9 października 1960 – brązowy medal na Pregorze.
- Koszalin 8 – 11 września 1961 – brązowy medal na Mitrydacie.
- Gniezno 18 – 22 września 1963 – brązowy medal na Demagogu II.

W Kwartalniku Koń Polski z 1980 roku, wydrukowanym już po Igrzyskach Olimpijskich w Moskwie, Sekretarz Generalny Polskiego Związku Jeździeckiego, Eryk Brabec, w artykule poświęconym skokom przez przeszkody, w których reprezentanci Polski zdobyli złoty i srebrny medal, dziękował polskim kibicom, zawodnikom, trenerom, lekarzom, luzakom i wszystkim ludziom, którzy pomagali w przygotowaniach olimpijskich i przyczynili się do sukcesu. Nie podziękował tylko koniom i nie wymienił nazwiska głównego trenera, Mariana Kowalczyka.

Konie były życiową pasją człowieka, zawodnika, trenera, niedocenionego.

Jest synem kawalerzysty, żołnierza 25 Pułku Ułanów Wielkopolskich. W 1920 roku numerację miał inną – 115, a słowo Wielkopolskich do numeru 25 dodano w październiku, już po zakończeniu wojny polsko-rosyjskiej. Aleksander Kowalczyk urodzony pod Garwolinem pomaszzerował w szeregi Wojska Polskiego na ochotnika. Walczył konno i w szyku pieszym. Raz dostał się do niewoli, ale się z niej wyrwał i znów się bił. 15 sierpnia 1920 roku, 115 Pułk Ułanów wchodzący w skład grupy generała Aleksandra Karnickiego, zaatakował opanowany przez Rosjan Ciechanów, rozbił dowództwo 4 Armii i zniszczył radiostację. Michaił Tuchaczewski, dowódca wojsk rosyjskich w książce „Pochód za Wisłę” napisał o tym wydarzeniu tak:

„Ten brak łączności doprowadził do klęski na najważniejszym odcinku frontu... nie ulega najmniejszej wątpliwości, że gdybyśmy zwyciężyli nad Wisłą, wówczas rewolucja ogarnęłaby płomieniem cały ląd europejski”.

– Mój ojciec, powiedział w listopadzie 2001 roku w Poznaniu Marian Kowalczyk, po wyjściu z wojska zaczął pracować w Stadninie Koni w Janowie Podlaskim. Zmarł, kiedy miał osiemdziesiąt trzy lata w 1982 roku. Był stan wojenny i nie mogłem z Berlina Zachodniego przyjechać na jego pogrzeb.

Byłem z ojcem, kiedy we wrześniu 1939 roku ewakuowano Stadninę przed Niemcami, aż po Kowel na Wołyniu. Miałem piętnaście lat. Nie pozwolił mi jednak jechać z końmi. Witałem go, kiedy wracali do Janowa przed nadciągającą Armią Czerwoną. Wrócili z niedzieli na poniedziałek, w nocy, a rano

o czwartej już byli Rosjanie. Przez czas nieobecności ojca pracowałem w polu.

– Pan Stanisław Kozłowski stwierdził, że pola są nieobsiane. W Stadninie zostały tylko dwa spokojniejsze ogiery i dwa wałachy. Pan Kozłowski powiedział, bym wziął jednego ogiera i jednego wałacha, po zaoraniu ziemi bronowałem z Polakiem, uciekinierem z Wielkopolski.

Niemcy nie zdążyli wywieźć Stada, bo musieli cofnąć się na wyznaczoną linię demarkacyjną. A, kiedy przyszli Rosjanie, to zboże młócili, ludzi zabierali z sobą aż na Syberię. Widziałem, jak wycofujący się z kolei Rosjanie wyprowadzali janowskie konie. Byłem nad Bugiem i obserwowałem przeprawę. Ojciec zwracał się z prośbą do cywilów z opaskami czerwonymi, to znaczy do milicji żydowskiej, by zostawili przynajmniej stare konie, by można było przywieźć ziemniaków, węgla, siana. Zgodzili się, bym pojechał z nimi za Bug, to dostanę dwa konie. Dali jednego.

– Weszli Niemcy. Zaczęli organizować Stado. Trzeba było iść do pracy, żeby nie wywieźli na przymusowe roboty do Niemiec. Najpierw byłem w Stadninie, z dwu i trzyletnimi ogierkami, potem w Stadzie. Wachmistrz Jagodziński, z polskiego wojska, spytał pewnego dnia, czy nie chciałbym jeździć? Kazał mi osiodłać Trajana, półkrwi. Ruszyłem pomiędzy dwoma masztalerzami – Zielińskim i Bettą. Łąki, przeszkody szerokiego toru myśliwskiego.

W 1944 roku Niemcy zaczęli wywozić konie z Janowa do Niemiec. Był lipiec. Marian Kowalczyk powędrował z końmi.

Od Białej Podlaskiej, w której konie zostały załadowane do wagonów kolejowych, przez Gostynin, Zgorzelec, gdzie stali do 13 marca 1945 roku i przejście przez bombardowane Drezno.

– Pod siodłem miałem Natziusa, w ręce gniadego Jarekę, z pokaleczonymi nogami, pociętą skórą. Ostatni etap to Torgau, Stadnina barona Clemensa von Nagla, w której były już konie z Racotu, Kozienic. W sierpniu 1946 roku polskie konie wracają statkami Helgoland i Ascania do Polski. Z końmi wędrowałem po kraju. Widziałem Kwidzyń, Bogusławice, Braniewo, Kętrzyn, Koźle, Książ. W grudniu 1947 roku, na Boże Narodzenie, z całą rodziną byłem w Łobzie. Przez jedenaście lat.

Sport zaczął się właśnie w Łobzie. Dyrektorem był major Marian Fabrycy, przed 1939 roku prowadził w Stadninie w Kozienicach Zakład Treningowy. Ponieważ był żołnierzem II Rzeczypospolitej, szybko został ze stanowiska dyrektora w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej – PRL usunięty.

W Łobzie zajęcia sportowe prowadził podporucznik Aleksander Chajęcki 2 Pułku Ułanów Grochowskich imienia generała Józefa Dwernickiego, żołnierz września 1939 roku, zastępca dyrektora Mariana Fabrycego. Sport był, po codziennym ujeżdżaniu koni, po pracy na punktach kopulacyjnych z ogierami.

Umiejętności jeździeckie zdobywał na kursach szkoleniowych u najlepszych wychowawców i trenerów – pułkownika Karola Rómmela, majora Leona Kona, majora Jana Mossakowskiego. Jednak pierwszym, i dlatego najważniejszym, trenerem był podporucznik Aleksander Chajęcki.

– To on powiedział w Łobzie, że jest półroczny kurs szkoleniowy w Sierakowie. Zajęcia prowadzić będzie pułkownik Karol Rómmel. Żona się zgodziła. Miałem wtedy konie Bagalpura i Bednarza. Pan Chajęcki dał mi jeszcze Gałata. Rómmel nauczył mnie prowadzenia konia, spokoju, cierpliwości. U pułkownika wszystko było jak w zegarku. Trening dokładny, przemyślany, uporządkowany. Nie tak jak u majora Adama Królikiewicza, który zajęcia prowadził z humorem, na wesoło. W terenie, w galopie, zawodnicy zajeżdżali sobie drogę, a major ani się obejrzał. Gnał na przedzie. Trenerami, którzy odcisnęli swoje piętno na mnie, byli jeszcze major Bucholz w Białym Borze, major Jarosław Suchorski w Poznaniu na Woli, Wojciech Zbanyszek w Łobzie i Zakładzie Treningowym w Boninie, gdzie był kierownikiem, Kazimierz Stawiński w Stadzie Ogierów w Starogardzie.

Po dziesięciu latach spędzonych z ojcem, matką, rodzeństwem, którzy z Janowa Podlaskiego przenieśli się na Pomorze Zachodnie od 1958 roku był Poznań i praca z końmi w Ośrodku Jeździeckim na Woli. Razem z nim od 1948 roku była żona, Maria, poznana w majątku Troszyn koło Dębna Lubuskiego, gdzie stał na punkcie rozrodczym z ogierami.

Żona, księgowa, stała się najwierniejszym towarzyszem życia, tak jak konie, które nigdy nie zdradziły i nie zawiodły.

Koni pod siodłem miał dużo.

Te trenowane w Poznaniu przed wysłaniem na eksport do Włoch, Niemiec, Szwajcarii, Stanów Zjednoczonych, Szwecji – konie były jak węgiel, jeden z niewielu towarów przynoszących krajowi dolary, i konie sportowe.

– Miałem, powiedział Marian Kowalczyk w 2001 roku w Poznaniu, Bagalpura, Bednarza, Gałata Kankana, klacz Wizmę, nerwową, pół siostrę Wolborza, Czerpaka z toru wyścigowego, hodowli Stadniny w Pępowie, Donata, angloaraba francuskiego ze Stadniny w Mieczownicy, Pregora, po niemieckim ogierze Polarstern, matka Peseta, Demagoga ze stadniny Posadowo, Mitrydata, Volta, Klarysa, Sekta, wnuka Rittersporna. Kochanym koniem mojej żony, a więc i moim, był na pewno Mitrydat. Klękał przed moją żoną. Był spokojny i dobry jak ona. Był w łonie matki, Mitry, na Torze Wyścigowym na Służewcu i można powiedzieć, że biegał razem z nią, nim urodził się w Stadninie Koni w Posadowie. Nieduży, gniady, obrośnięty, dopiero w maju tracił sierść. Zawsze kudłaty jak baranek. Trener Jan Mossakowski, prowadzący jeźdźców na Woli, wysyłał mnie na każde zawody.

– Startowałem w Międzynarodowych Oficjalnych Zawodach Konnych w skokach – CHIO w 1958 roku w Rzymie, gdzie zdobyłem drugie miejsce, na takich samych zawodach w Lucernie czwarte i szóste miejsce, w 1959 roku w Akwizgranie szóste miejsce w Międzynarodowych Zawodach Konnych w Skokach – CHI w 1961 roku w Kolonii czwarte miejsce. Na CHI w 1958 roku w Bukareszcie i w Budapeszcie pierwsze miejsca.

– Mitrydat był moim towarzyszem i przyjacielem. Mitrydat ośleplł na jedno oko. Nikt tego nie zauważył. Kiedy przewróciłem się z nim raz na rozprężalni, potykałem na drągach pomyślałem sobie, że coś jest nie w porządku. Zawiazaliśmy mu chustą najpierw jedno oko, następnie drugie i z zachowania dowiedzieliśmy się, na które nie widzi. Oddaliśmy go do Mosznej i jeździł na nim, jako junior Krzysztof Koziarowski. Z Mitrydratem widywałem się właśnie w Mosznej. Na moje zawołanie Mitruś rżał i zawsze przychodził. Kiedy był zdrowy, nikt nie miał dla niego litości. Był skoczkiem i był dobry w ujeżdżeniu, a próbowano go w Wszechstronnym Konkursie Konia Wierzchowego, co było zbrodnią.

Pięć mistrzostw Polski i jedno wicemistrzostwo zdobyłem w ujeżdżeniu na Sekcie. Był wspaniały. Siwy ogier urodzony w Stadninie Koni w Posadowie, półkrwi angielskiej. Matką była Sekta półkrwi rasy Brandenburskiej, a ojcem Rumian półkrwi angielskiej, dziadkiem zaś pełnej krwi słynny Rittersporn. Rozumieliśmy się bez słów. Zamierzaliśmy w ujeżdżeniu dojść do światowego mistrzostwa, ale ta konkurencja nie cieszyła się sympatią władz Polskiego Związku Jeździeckiego, kochającego tylko skoki.



Skoki przez przeszkody na Donacie, Pregorze, Demagogu II, Mitrydacie. Ujeżdżenie na Mitrydacie, Sekcie, a Wszechstronny Konkurs konia Wierzchowego Marian Kowalczyk pojechał na Urugwaju.

– W roku 1970 pojechałem do pracy w Berlinie Zachodnim. Sekt został odesłany do Stada Ogierów w Sierakowie. Widziałem go, kiedy przyjeżdżałem do domu w Poznaniu. Jak zobaczył go mój berliński szef, to powiedział, że chętnie by Sekta kupił. Pokazałem mu go pod siodłem. Dziwnie się jednak składało, że Sekt nie mógł być sprzedany. Raz miał kuleć, drugi raz, że jest na punkcie rozrodczym, za trzecim razem usłyszałem, że już nie żyje. Owies miał mu przebić płuco. O czymś takim można dowiedzieć się z bajek.

– Mój Boże, ileż to wspaniałych koni w Polsce zmarnowano. Pregor, Bengali, Bej, Volt. Żeby z nich zrobić użytek w sporcie, to przerzucano ich do niższej kategorii i wyłączano z hodowli kastrowaniem. A jako ogiery mogły dać dla sportu wielkich potomków.

Nie został olimpijczykiem, chociaż uczestniczył w przygotowaniach do Igrzysk Olimpijskich w Rzymie w 1960 roku. Przed Igrzyskami oddał siwego Volta Marianowi Babireckiemu. Sam trenował na Wizmie, świetnej karej klaczy urodzonej w Stadninie Koni w Płkitach. Wizma bardzo dobrze skakała. W Kwidzynie, na treningu, w zjeździe z góry na przeszkodę klacz się przewróciła. Marian Kowalczyk uszkodził lewą rękę. Nosił ją półtora miesiąca w gipsie. W 1976 roku, po powrocie z pracy w Berlinie, poprowadził treningi Jana Kowalczyka z końmi Nygus, Darlet, Bertyn, który jako jedyny skoczek, miał pojechać obok zawodników Wszechstronnego Konkursu Konia Wierzchowego na Igrzyska Olimpijskie w Montrealu. Do startu nie doszło, głównie z powodu choroby krwi – piroplazmozy, wykrytej u polskich koni. Podejście do trzecich Igrzysk, Igrzysk Olimpijskich w Moskwie w 1980 – zakończyło się sukcesem. Przygotowania olimpijskie miał od 1978 roku prowadzić inżynier Władysław Byszewski, znakomity przed laty zawodnik. Zajęcia służbowe w Stadninie Koni Moszna, gdzie kierował hodowlą, ale problemy osobiste skłoniły go do rezygnacji. W zespole trenerskim zostali Krzysztof Koziarowski i Marian Kowalczyk, który ciężar odpowiedzialności przyjął na siebie i doniósł go do końca.

– Zgrupowanie, mające trwać osiem miesięcy postanowiłem poprowadzić w Drzonkowie. Polski Związek Jeździecki się na to zgodził. Nim zawodnicy usiedli w siodłach, powiedział Marian Kowalczyk, poprosiłem ich, by zajęli miejsca w fotelach i wysłuchali, co mam im do powiedzenia, czego od nich chcę, czego będę wymagał. Kto nie ma zamiaru poddać się dyscyplinie, może spakować walizki. Ostrzegłem, że picie alkoholu grozi wyrzuceniem. Dodałem też, że do dziewczyn mogą chodzić, przyjmować ich, ale nie w swoich pokojach. Kiedy po Igrzyskach w Moskwie spotkałem się z druzgocącą krytyką mojego postępowania, nastąpiło rozstanie. Pojechałem znów do pracy w Berlinie, gdzie były konie, spokój, jezioro, las i wspólne przejażdżki z ludźmi, którzy konie kochają.

Wielu działaczy Polskiego Związku Jeździeckiego Mariana Kowalczyka nie kochało. Był traktowany jako koniuszy, którym rzeczywiście był na Woli w Poznaniu, ale był koniuszym jakich w Polsce można było szukać ze świecą. Był również zawodnikiem, któremu wyszkolone konie zabierano dla innych jeźdźców mających wsparcie sekretarza Związku i trenerów kadry. Sam brał konie zniszczone psychicznie i fizycznie od innych jeźdźców i doprowadzał ich do klasy najwyższej. Po Igrzyskach Olimpijskich w Moskwie do Polskiego Związku Jeździeckiego przyszło z Rzymu pismo, w którym składano gratulacje. Wcześniej o doskonałej pracy Mariana Kowalczyka pisali działacze jeździectwa z Rumunii.

Po roku 1988 wrócił z pracy w Niemczech, znów na Wolę w Poznaniu. Do koni i do nauki jazdy z młodzieżą.